№ 16. Warszawa, dnia 10 (22) Kwietnia 1874 r. Rok IX.—Tom X.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nwy 7).

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

ANTYGONA SOFOKLESA

(Studium)

przez El-y.

(Dokończenie).

Przystąpmy teraz do rozpatrzenia scenicznej budowy tragedyi i pojedyńczych jej ustępów. Prolog stanowi tutaj rozmowa Antygony z Ismeną, w której pierwsza zawiadamia swą siostrę o wyroku Kreona i o swojem przedsięwzięciu. W scenie tej maluje się od razu cały charakter obu sióstr. Obok bohaterskiej postaci Antygony natchnionej jedną wielką myślą i niemającej chwilowo miejsca w swej duszy dla innych tkliwszych uczuć, mile odbija nieśmiała, dziewczęca postać Ismeny niezdolnej do czynnego wystąpienia a tylko do cichej ofiary. Antygona nie może jej skłonić do udziału w heroicznym zamyśle, ale również nie może zrazić ostremi słowy jej kochającego serca. Z tego siostrzanego sporu wychodzą obie zwycięzko. Wzniosłą jest Antygona, kiedy doznawszy odmowy wybucha gniewem mówiąc:

Nie żądam już! chociażbyś sama chciała
Przynieść mi pomoc—nie przyjmę jej od ciebie!
Pełń wolę swą—ja sama go pogrzebię;
Gdy śmierć poniosę—tem większa dla mnie chwała!
Z miłością tam odpocznę wraz z miłemi,
Uczciwszy cienie pobożną przysługą;
Tak krótko trwa skarbiony mir na ziemi,
Wolę więc zmarłym zasłużyć się na długo,
Bo z niemi tam zawsze zostać trzeba.
Ty zaś wzgardź chwałą, co mają w czci swej nieba.

Niemniej przeto pełną wdzięku jest pokora i tkliwość, z jaką Ismena przyjmuje wszystkie zarzuty i ostatnie zapewnienie wiernej siostrzanej miłości przy pożegnaniu Antygony idącej grzebać zwłoki brata.

W tem miejscu z rozejściem się Antygony i Ismeny kończy się prolog a natomiast wchodzi chór śpiewający wstępną pieśń, parados.

Ten parados odnosi się do świeżo minionych wypadków, zamykając w następujących po sobie strofach i antystrofach, malowniczy opis przebytej walki. Przebija w nim jeszcze echo orężnego starcia i cała groza domowej wojny jaskrawo występuje. Mordercze ciosy walczących, ognie pożaru, nareszcie podwójny zgon wrogich braci, wszystko to uwydatnia się w potężnej wojowniczej pieśni chóru. Kończy się ona wyrazem radości z odniesionego zwycięztwa i zapewnionego spokoju dozwalającego zapomnić o ciężkich przejściach i powitaniem wchodzącego na scenę nowego władzcy. Odtąd zaczyna się pierwszy epizod tragedyi. Kreon wyjaśnia chórowi znaczenie ogłoszonego przez siebie wyroku. Z wielką zręcznością podnosi swoje posłuszeństwo dla ustaw ojczystych, niezachwianą wierność, z jaką pozostawał dla panującego domu Edypa i wykazuje, że jak dawniej obowiązkiem jego było ulegać, tak dziś, u steru władzy, stanowić prawa i wykonywać je z całą bezwzględnością, dla publicznego dobra. Chór, który w tej tragedyi złożony jest ze znakomitszych obywateli miasta, przyznaje mu prawomocność orzekania o losach żywych jak i zmarłych. Rozmowę Kreona z chórem przerywa pojawienie się strażnika, który przychodzi donieść z trwogą, że zwłoki zabitego nagle pokryły się ziemią. Chór odzywa się nieśmiało, że to może same niebiosa cud sprawiły, przez co zarabia na gniew Kreona, który nie może znieść przypuszczenia, aby niebiosa opiekowały się potępionym przez niego winowajcą. W całej tej scenie maluje się wymownie niecierpliwość i gwałtowność Kreona nie znosząca żadnej najmniejszej uwagi. Kreon odchodzi grożąc śmiercią strażnikowi, jeżeli nie dostawi właściwego sprawcy, a przestraszony strażnik śpieszy na swoje stanowisko.

Na tem się kończy pierwszy epizod tragedyi. Na scenie pozostaje tylko chór wypełniający przerwę akcyi dramatycznej swoim pierwszym stasimonem.

W stasimonie tym chór zastanawia się nad człowiekiem, na tem najwięcej zadziwiającem zjawiskiem wśród świata. Opisuje, jak on puszcza się na wzburzone fale morza, jak pługiem kraje łono matki swej ziemi, jak rozumem i przebiegłością zwycięża niedoścignione ptactwo w powietrzu a dzikiego w lasach zwierza.

Wysławia go dalej, że wymową swoją kieruje umysłami ludu, że w walce z naturą wychodzi zwycięzko, znajdując sposób na wszystko, wyjąwszy na śmierć, od której się uchronić nie zdoła.

W ostatniej antystrofie zwróciwszy uwagę na to, jak wyposażony wszelkiemi zdolnościami człowiek chwieje się między złem i dobrem, wyraża chór uznanie dla tych, co strzegą ustaw państwa i praw bożych, potępienie zaś dla lekceważących je śmiałków.

Z tem właśnie zakończeniem zbiega się wprowadzenie schwytanej przez strażników Antygony, na której widok część chóru dalej pieśnią objawia swe wzruszenie, nie chcąc wierzyć własnym oczom, że to ona przekroczyła rozkaz władzy. Tu początek drugiego epizodu. Strażnik zdaje sprawę z całego wypadku powracającemu Kreonowi, a po przyznaniu się Antygony, uwolniony, odchodzi.

A gdy po stanowczem jej potępieniu Kreon stara się zachwiać jeszcze jej wewnętrzne przekonanie o wartości dokonanego czynu, Antygona dziwnie piękne, z serca płynące daje odpowiedzi, mówiąc, że śmierć ich porównała już obu w ich prawach i że jej przystoi podzielać tylko miłość a nie nienawiść.

Przybycie Ismeny, której wdzięczne lica wedle słów chóru zroszone są łzami żalu i miłości siostrzanej, dodaje wdzięku i barwności temu i tak już wzruszającemu epizodowi. Ismena błaga tu siostry by jej pozwoliła razem z sobą zginąć oświadczając, że życie po jej stracie nie będzie miało dla niej żadnej wartości. Lecz Antygona nie chce podzielić się z siostrą zaszczytem chwalebnej śmierci, gdy ta niechciała wziąść udziału w jej czynie. „Tyś sobie życie, a jam śmierć wybrała“ odpowiada jej niewzruszenie. W tej walce uczucia, wspaniałomyślności

i szlachetnej dumy, obie dziewice dosiągają najidealniejszych wyżyn. Surowość i niezłomny hart Antygony, serdeczna tkliwość i słodycz Ismeny posiłkują się wzajemnie, by wydobyć na jaw najpiękniejsze strony ludzkiej natury. Jeden tylko Kreon patrzy na to zimno i każe odprowadzić pod strażą obie dziewice. Na tem kończy się drugi epizod. Kreon pozostaje w zamyśleniu na scenie, a chór odśpiewuje następujący stasimon, zastosowany do nieszczęść Edypowego domu i losu samej Antygony.

Szczęśliwi, co złych losów jeszcze nie zaznali;
Bo gdy niebo dom jaki chce zniszczyć — nie-
[spocznie,
I ogrom nieszczęść na niego się zwali
Na zgubę rodu mnożąc się widocznie.
Tam jako na północy,
Gdzie wicher morskie wybrzeża
Wypełnia burzą, gdy w otchłań uderza
Podmorskiej nocy;
I fale piętrzy i kłębi
I na dnie w piasku się ryje,
Aż ryk się podnosi z głębi
I brzeg chłostany falą strasznym głosem wyje.—

W zagasłych Labdakidów domu—bez wytchnienia
Klęska za klęską spada jako grom bijąca,
Klątwa z pokoleń idzie w pokolenia
I bez ratunku Bóg je wszystkie strąca....
Gdyż kwiatu piękny zawiązek
Co nam zajaśniał tak mile
Z ostatnich domu Edypa gałązek
Wschodząc na chwilę,
Znów teraz sierp krwawy ścina
Podziemnych bóstw nielitośnych—
Niebacznie ściągnięta wina
Szałem słów i obłędem Erynnii zazdrosnych.

Czyliż z śmiertelnych kto może
Postawić opór, o Boże!
Twej mocy, co niestrudzona
Dogląda przestrzenie śpiące—
A której sen, zwycięzca światów, nie pokona
I wieczne niebios nie znużą miesiące.
Zawsze niezmienny!
W olśniewającej Olimpu jasności,
Na tronie siedzisz, promienny;
Więc dziś i nadal każdy z nas podlega
Tak jako przedtem prawom woli boskiej...
I trwanie ziemskie kresu nigdy nie dobiega
Wolne od troski.

Dla niejednego ach! z ludzi
Błędny ognik nadziei staje się osłodą;
Lecz niejednego próżne pragnienia zawiodą,
Niejeden gorzko się łudzi
Goniąc sny, które ziścić się nie mogą
Właśnie gdy w żar płomieni wstępuje swą nogą.
Wielka się mądrość wyraża
W tem mędrca wielbionem słowie:
Że często złe największe za dobre uważa
Ten, komu rozum odbiorą bogowie —
I krótko szczęściem się cieszy,
Sam bowiem dobrowolnie do swej zguby spieszy.

Po odśpiewaniu stasimonu część chóru zawiadamia Kreona, że Hemon nadchodzi i cały następujący epizod wypełnionym zostaje przez tragiczne starcie ojca z synem o skazaną na śmierć narzeczoną.

Z gwałtownem odejściem Hemona, co niechce być świadkiem wyprowadzenia na śmierć narzeczonej, bojąc się by na ten widok nie rzucił się na własnego ojca, chór zamyka znów epizod równie zastosowanym do położenia śpiewem:

Miłości! ty, co zwycięzko
Wśród wszystkich walk tryumfujesz,
Ty, co zapalasz pierś męzką
I z słodkim wdziękiem czatujesz
Na ust dziewiczych purpurze,
Co wnikasz w głębi morza, co mieszkasz w pustyni,
I samowładnie w całej panujesz naturze,
Wielka bogini!
Tobie nie ujdzie żaden w nieśmiertelnych gronie
I żadne ze ziemskich dzieci...
A kogo pochwycisz w sieci,
W marzeniach tonie.
Ty prawych pchasz do bezprawia,
Umysłów kazisz pogodę—
Ty wzniecasz tutaj niezgodę,
Co blizkich krwią mężów przeciw sobie stawia.
Ta jasna spojrzeń ponęta
Wybranej sercem piękności,
Przeważa do rady wzięta
Najwyższy głos powinności.
Próżny opór — gdy sobie igraszkę uczyni
Wielka miłości bogini.

Pieśń się kończy a wojownicy wprowadzają na scenę idącą na śmierć Antygonę i tu następuje przeważnie liryczny epizod, którego główne tło stanowi śpiewna rozmowa Antygony z chórem, pełna najtkliwszego uczucia, a zarazem prostoty.

Oto początek:

ANTYGONA.

Obywatele mej ziemi ojczystej,
Spojrzyjcie na mnie, co idę tą drogą
Po raz ostatni!
Spojrzyjcie na mnie, która promienistej
Heliosa twarzy widzę swiatłość błogą
Po raz ostatni!
Mnie uprowadza Hades, co wszystko pochłania,
Do posępnego mieszkania
Nad Acheronu brzegami,
Zanim mnie ślubnym ucieszono wieńcem
I weselnemi hymnami—
Acheron tylko będzie moim oblubieńcem!

CHÓR.

Wszakże okryta chwałą i wielbiona
Zstępujesz w ciemne umarłych przepaści,
Ani chorobą ciężką nie zgryziona,
Ani od miecza padając napaści:
Lecz dobrowolnie w pełnej życia mocy
Z tryumfem schodzisz do Hadesu nocy.

ANTYGONA.

W dalekiej Frygii słychać o córce Tantala
Jak śmierć straszliwszą na Sypilu szczycie
Poniosła w głazu ujęta spowicie,
Który ją całą okala
Jako bluszcz swemi splotami [1]).
Z lic jej płynących deszczami,
Jako wieść głosi,
Nigdy nie schodzą śniegi, ani mgły co wiszą—
I wiecznie z rzęs kamiennych głaz ten łzami rosi....
Tak samo mnie na zawsze złe losy uciszą.

CHOR.

Ona się boskiem szczyci pochodzeniem,
My zaś śmiertelni, z naturą człowieczą;
Więc dla znikomych wspaniałą jest rzeczą
Dorównać bóstwu swojem przeznaczeniem.

ANTYGONA.

Szydzicie ze mnie? O! na ojców bogi,
Czyż wy możecie w sposób tak złowrogi
Nad potępioną znęcać się niewiastą?
O ludu, o moje miasto,
O znakomici mężowie narodu!
Przed wami nieszczęsna staję—
Dirkejskie źródła i wy święte gaje,
Tego wozami wsławionego grodu!
Na świadki was powołuję:
Że nieżegnana łzami przyjaznemi,
Z mocy praw srogich zstępuję
Do piętrzącego się grobu podziemi,
Ja nieszczęśliwa!
Co w istniejących gronie się nie mieszczę,
Ani w orszaku cieni, co spoczywa,—
Żywym i zmarłym równie obca jeszcze.

CHÓR.

Na strome stopnie prawa tyżeś przecie,
Na nic nie bacząc wdzierała się śmiało—
Więc w grób się ztamtąd stoczyłaś, o dziecię!
I winę przodków okupujesz całą.

Ta scena kończy się odprowadzeniem Antygony do przeznaczonej na jej zamknięcie pieczary, z rozkazu niecierpliwiącego się na zwłokę Kreona.

Poczem chór występuje z nowym statisimonem, opiewającym losy zamkniętej również w więzieniu Danae i losy innych osób, których nieszczęścia są niejako zbliżone do nieszczęść Antygony. Przybycie Teireziasza dostarcza treści do ostatniego epizodu, w którym akcya dramatyczna dobiega swego najdalszego kresu zdążając do zapowiedzianego już rozwiązania. Wprowadzenie mądrego wieszczbiarza jako najwyższej powagi moralnej, występującej przeciw nadużyciu władzy w obronie uciśnionych i zrobienie go czynnikiem rozcinającym cały węzeł tragiczny przepowiedną strasznej katastrofy—należy do najpiękniejszych pomysłów Sofoklesa.

Z chwilą, gdy z ust odchodzącego starca pada prorocza klątwa, walka tragiczna jest już zakończoną i znieważający z kolei wszystkie świętości Kreon ulega bez ratunku swemu przeznaczeniu. Napróżno wybiega on, ażeby zastosowaniem się do rady proroka cofnąć niebieskie wyroki: wszyscy wiedzą, że one są nieodwołalne. I dla tego chór we wspaniałym a ostatnim statisimonie podnosi hymn uroczysty, w którym wzywa Bachusa, opiekuńcze Teb bóstwo, ażeby wziął w opiekę swoją to miasto i cały kraj wśród grożących klęsk i niebezpieczeństw.

Jeszcze ostatnie dźwięki hymnu nie przebrzmiały, gdy nadchodzi posłaniec niosący straszne wieści. Tu już poczyna się exodos czyli rozwiązanie tragedyi. Pierwsza jego część objęta jest sceną między posłańcem, chórem i Eurydyką, matką Hemona, która tylko raz się odzywa a dowiedziawszy się o zgonie syna w milczeniu odchodzi. To złowrogie milczenie silniejszem jest od wszystkich słów: zapowiada postanowienie niezłomne. Teraz zjawia się sam Kreon i padając na przyniesione zwłoki syna, w tej wzruszającej boleścią skardze żal swój pocznie wyrażać:

O straszna wino! śmiertelny obłędzie,
Rozumu bezrozumnego!
Ziomkowie, kto z was łzy lać zemną będzie,
Widząc zabójcę obok zabitego.
O biada mojej woli nieroztropnej,
O biada, biada!
Nieszczęsny synu — o losie okropny!—
Zgasłeś tak młodo, jak kwiat, co opada,
Ach! Ach! mój synu jedyny,
Nie z twojej, lecz z szaleństwa mego ciężkiej winy

Skargi Kreona przerywa posłaniec wiadomością o samobójczym zgonie Eurydyki.

Wśród wybuchów zgrozy i rozpaczy dowiaduje się złamany starzec o przerażających szczegółach. Przyzywa śmierci jako jedynej ucieczki a zwracając się w końcu do chóru stan swój maluje w tych ostatnich słowach:

Precz ztąd—nędznego człowieka zabierzcie,
Który cię, synu, zabił mimo woli
I ciebie żono. W tak okropnej doli
Nie wiem gdzie wpierw się zwrócić. Teraz wreszcie
Wszystko przepadło. Ach! straszliwą siłą
Nieszczęście na me barki się zwaliło.

Na co odpowiada chór:

Ziemskiego szczęścia pierwszą jest podstawą
Objąć umysłem wieczne boskie prawo,

---

[1]) Niobe, córka Tantala i Diony z rodu Plejad, wyniosłą dumą swoją obraziwszy Letonę, matkę Apollina i Diany-Artemis, utraciła wszystkie czternaścioro dzieci, jakie miała w małżeństwie z Amfionem. Córki pozabijała jej Artemis niedaleko od mieszkania, synów zaś przyprawił o śmierć Apollo, gdy polowali w górach Cyteronu na granicy Beocyi i Attyki. Z synów pozostał tylko Amfion, z córek najmłodsza Chloris. W nieogarnionej boleści Niobe udała się do Azyi mniejszej, do swego ojca Tantala, mieszkającego w górach Sypylosu nad rzeką Hermos. Nadaremnie żałość na łonie ojca koiła; cierpienia jej tak wzrosły, że się Jowisz nad nią zlitował i zamienił ją w skałę. Lecz i śmierć łez nie wstrzymała: łzy płynęły z kamienia. Taką wersyę podaje Apollodor w Bibliotece mythologicznej. Herodot, Homer, Heziod niejednakowo oznaczają liczbę dzieci nieszczęśliwej matki; liczba ta zmienia się od 5—20. Pauzaniasz żyjący w II wieku po Chrystusie pisze, że będąc w górach Sypylosu w Lidyi, według dawniejszej terminologii we Frygii, widział Niobe skalistą, nie dopatrzył w niej zblizka kształtów postaci ludzkiej, dopiero w pewnej odległości skała przedstawiła mu się jako kobieta żałosna z pochyloną głową. (Przyp. Red.).

Więc nie należy znieważać świętości;
Wyniosłe słowo wyniosłego władzcy
Gromem na głowę spada świętokradzcy—
I starość jeszcze uczy się mądrości.

W tych słowach zamykającego całą tragedyę chóru streszcza się jeszcze raz jej szlachetna, głębokofilozoficzna dążność. Występuje ona z całą jasnością nieśmiertelnej prawdy, z łona umarłych światów w najodleglejszą przyszłość posyłając swe promienie.

El-y.

POGAWĘDKA.

— Skąd idziesz? — Ledwo chodzę. — Słabyś? — — I jak jeszcze. Taki dyalog zawiązują ze sobą Warszawiacy, na drugi dzień świąt, po odbyciu czterdziestu lub pięćdziesięciu wizyt, z których połowa następuje w warunkach prostej, nie tylko do odwiedzin wielkanocnych, ale do niczego nie zobowiązującej znajomości. Gdyby życie towarzyskie stało na wyższym stopniu, gdyby rodziny starały się o przyjaciół, a nie o figurantów, gdyby przyjemna rozmowa na tle serdecznem uważaną była za część składową święconego i każdej zabawy, gdyby — powiecie — poeci rządzili światem — nie byłoby tych wędrówek tłumnych, po których później niechęć tylko i skargi zostają. Każdy znalazłby ludzi, dla których może mieć pewną życzliwość, których towarzystwo istotną sprawia mu przyjemność; w gronie ich przepędziłby godzin kilka wśród szczerej uciechy, nie tamowanej sztywnością etykietalną i nieodłączną od niej obłudą towarzyską. Człowiek jest wtedy *naturalnym*, gdy się sercem łączy z otoczeniem swojem. Uczucia indywidualne są tu nie potrzebne, można nikogo po szczególe nie kochać, ale dla wszystkich razem wziętych, dla rodziny całej mieć życzliwość, która będzie dla umysłów tem, czem powietrze dla płuc. Widok naszych zebrań wielkanocnych, najlepiej daje nam poznać tę pustkę, jaką zostawia po sobie coraz bardziej ustępujące ze stosunków ludzkich uczucie. Miejsce jego zastępować musi sztuka wychodzenia z ludźmi. Są indywidualności szczęśliwie tak uposażone, że patrząc na nie przyznajemy im jakiś osobny rodzaj geniuszu, *genialność życia*. Dla tych natur życie jest także sztuką, ale sztuką bezwiedną, sztuką prawdziwych talentów. Obejście się ich, postępowanie, czyny ich, są powabne, miłe, ujmujące same przez się. Zestawmy człowieka gościnnego i grzecznego przez dar wrodzony, jak zwykle mówimy, a właściwie w życiu wyrobiony i nieodłącznie z duszą zrośnięty, z człowiekiem grzecznym i gościnnym przez wolę i sztukę życia. Jaka ogromna różnica! Rozpoznasz ich od razu, gdy obok siebie staną. Tak wielką jest tajemnicą maluczkiego nawet, najdrobniejszego szczęścia — serce ludzkie.

Skutki jego w stosunkach towarzyskich nie są wyłącznie tylko idealnego charakteru, owszem, miewają one formy bardzo realne, bardzo materyalne, zrozumiałe dla najbardziej prozaicznych umysłów. Oto: na sercu kieszeń zarabia. Etykieta, karyera dla dzieci, chęć popisania się i różne pobudki, które wszystkie streścić można w jednem dążeniu, aby się wydać innym, niż się jest w istocie — pociągają za sobą nieuchronnie wystawność, przyjęcie i wydatki nad stan. Dobrego znajomego przyjmie się czem można, dobry znajomy na wszystkiem poprzestanie. Przy wystawnych stołach najmniej szczerości zasiada. Towarzyskość nie szuka dróg wyniosłych; najmilej jej na starych gościńcach, skromnych, cichych, niepostrzeżenie wijących się. Wprawdzie czytając opisy święconego w dawnych czasach, nie możemy powiedzieć, aby przyjęciom ówczesnym myśl umiarkowania przewodniczyła. Ale nie zapominajmy też, że dawniej były i fortuny i serca i zdrowia większe. Dziś robi się najczęściej przez interes, co się dawniej robiło przez bezwiedny towarzyski popęd. Któraby dziś gospodyni chciała narażać się na wszystkie niewygody i trudy przygotowań świątecznych! Po miastach większych stało się to już niepodobieństwem. Za panią domu miejskiego pracuje rzeźnik i cukiernik, a pracując oczywiście zarabiać musi. Goście spożywają to, coby mogli zjeść za własne pieniądze. Na wsi dawno już w święta nie byłem, ale i tam podobno już przyrządzanie święconego własną pracą coraz mniejsze ma znaczenie. Nie myślę bynajmniej ubolewać nad tem: w tych lub owych warunkach ekonomicznych zwyczaj zwyczajem, gościnność gościnnością być może. Nikt nawet nie przywiązuje absolutnej wagi do najbardziej materyalnej formy zwyczaju, do ustawianych na stołach regimentów z mięsiwa i ciasta. Z czasem może nie my, ale następcy nasi — idąc za radą lekarzy, mocno na święta narzekających — ustawiać zaczną na stołach tylko Baranka Bożego w gaju z kwiatów wiosennych, z hyacyntów, fiołków i pierwiosnków, i do takich stołów goście przychodzić będą z życzeniami szczerszemi może niż dzisiaj. Takie święcone widziałem w jednym domu ubogim, umiarkowanym, a szanującym tradycyę. Niewymownie błogiego uczucia doznało serce, znalazłszy się u tego stołu tak biednego, a tak zamożnego.

Gospodarz tego domu poprzestał na samej tylko duszy zwyczaju, odtrącając ciało, w którem niegdyś, w wiekach wiary naiwnej, także się cząstka duszy chowała. W owych wiekach, dziś już niepowrotnie minionych, każdy szczegół święconego był uosobieniem jakiegoś szczegółu Męki Pańskiej. Dziś wzruszamy ramionami na tę pogańską figuryczność, na tę poezyę religijną gastronomii, ale nie pojmujemy wielkiego zasobu uczucia, które się na wszystkie strony, nawet najpowszedniejsze, rozlewać musiało — tak było silnem, tak wysoko w łożysku ducha wezbranem. W tych wiekach naiwnej poetyczności święconego, umiano nie naiwnie, ale z całą najgłębszą skruchą i wiarą przepędzać siedm dni wielkiego tygodnia, urządzano po kościołach groby własnemi rękami, nie zostawiając pracy tej organistom i zakrystyanom, nie czyniono ani z wędrówek nagrobnych, ani z rezurekcyi, jak się to dziś po miastach przytrafia, pewnego rodzaju widowisk, nie zawsze szlachetnych; jednem słowem umiano wierzyć i rzeczy boskie szanować. Zostawmy każdemu wiekowi co jego, a patrzmy w siebie: czy w istocie swej jesteśmy lepsi od ludzi dawnych i czy nas na zbyt chełpliwość cywilizacyjna nie unosi....

Tu nasuwa się mi na pióro kilka uwag, nad sposobami zbierania kwest wielkanocnych w wielkich miastach, a zwłaszcza w Warszawie. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy po kościołach warszawskich jeden tylko był stół ustawiany. Zasiadały przy nim osoby z wyższych sfer z arystokracyi, której dyplomów nikt nie sprawdzał, ale której współudział był istotnie pomocnym i prowadził do celu — do pieniędzy. Dziś namnożyło się kwest i stolików bez liku. Niekiedy wyradza się formalne między niemi współzawodnictwo. Instytucye z dewocyi powstałe, przez dewocyę zamożną, nawet bogatą, zakładane, odbierają grosz biednym prawdziwie, tym, względem których nikt specyalnie, a tylko publiczność cała, ogół chrześcijański, ma obowiązek śpieszenia z pomocą. Namnożyło się u nas dość już tych instytucyi miłosiernych bez istotnej potrzeby. Patronki i patronowie mogliby własnemi środkami doskonale byt ich popierać. Tymczasem żaden zakład miłosierny nie urządza takiej ilości balów, koncertów i kwest, jak te właśnie *minoris momenti* przez dewocyę arystokratyczną podtrzymywane—i stosunkowo żaden tak wysokich jak one nie osiąga zysków. Na kwestach wielkanocnych przy grobach, najwięcej rubli płynie w stronę stolików obsiadłych kwestarkami *ad hoc*. To jeden wzgląd, wprost tylko interesu samych biedych dotyczący, a jest jeszcze inny ważniejszy. Rozstawianie stołów, połączone z gromadzeniem około siebie mniej więcej licznych towarzystw i nieuniknionemi rozmowami, ma w sobie coś nieprzyzwoitego, uwłaczającego powadze świątyń pańskich. Stoły zamieniają kościół w salon, a niema dwóch rzeczy bardziej wyłączających się na świecie, jak kościół i salon. Jedno z pism codziennych, zdaje się „Kuryer Warszawski“ doniósł, że jakiś skruszony pielgrzym do grobu Zbawiciela przybył o dwanaście mil z za Warszawy umyślnie na to, aby złożyć ofiarę sutą na tacy w jednym z kościołów, przed który prosto z drogi zajechał. Czy można tu przypuścić same tylko pobudki religijne i miłosierne? Przeciwnie, sądzimy że ofiara była tylko pozorem do manifestacyi właściwszej w salonie niż w kościele. Takich faktów, mniej uderzających, mniej głośnych i wybitnych nie zbrakło w innych świątyniach. Maż to być wszystko na chwałę Bożą?

Zły rezultat kwesty tegorocznej, powinienby ostatecznie do dzisiejszych jej form zniechęcić. Kobieta powinna wyrzec się roli, która jej żadnego nie przynosi zaszczytu, a krzywdzi i psuje niewątpliwie jej serce, gdyż rozbudza w niem próżność, tę istną Scyllę i Charybdę natury kobiecej, należycie przez ducha w wychowaniu nie owładniętej. Przy stolikach kwestarskich wolałbym widzieć samych biednych starców i sieroty, wreszcie siostry miłosierdzia lub służbę duchowną kościoła. Zamiast tac, możnaby ustawiać wielkie puszki blaszane, któreby i papierki, i złoto i srebro i miedź ubożuchną przyjmować mogły. Będzie to mniej wystawnie, ale bardziej po chrześcijańsku.

W roku bieżącym zaprowadzono już w kwestach bardzo dobrą nowość. Zwykłe przedstawienie wielko-środowe na korzyść zakładów dobroczynnych w Teatrze zamieniono na koncert religijny. Sala zwykle pusta, była w tym roku, dzięki zmianie, przepełnioną. Biedni zyskali i publiczność zyskała. Wszyscy zadowolonymi być musieli ze zbawiennego pomysłu. Teatr przedstawiał widok bardzo uroczysty może dopiero pierwszy raz, odkąd istnieje. Wszystkie damy, z wyjątkiem jednej, były w strojach czarnych, a ta jedna postać w bieli, z czarnym krzyżykiem na piersiach, pięknie odbijała od całości. Po raz pierwszy wykonanym został z rękopismów pośmiertnych Moniuszki wspaniały utwór „Requiem aeternam“. Chóry kościelne w kraju powinnyby go sobie jak najrychlej przyswoić.

Ale czas już pożegnać święta Wielkanocne, z ich jasnemi i ciemnemi stronami, z uśmiechem wiosennym, jakim przynajmniej Warszawian obdarzyły. Dwa dni świąteczne, zwłaszcza drugi był tak pięknym, że łatwo zapomniano o surowości klimatu, który niejeden kwiat jeszcze zmrozi, niejednym go płatkiem śniegu przypruszy, niejedno wyrwie złorzeczenie tym niecierpliwym serduszkom kobiecym, które z jednego promienia zaraz całe słońca robić są gotowe. Czy są dziś jeszcze takie serca?

* * *

Są umysły kobiece poważne.

Mogliśmy je poznać przy obrazie Matejki „Kazanie Skargi“. Zdania najtrafniejsze wychodziły z ust kobiet. Mężczyźni, najwięcej młodzi — starzy bowiem pilnowali bądź sklepów, bądź stolików biurowych, bądź wreszcie stolików także, ale innego rodzaju — otóż ci młodzi nawiedzacze Skargi hałasowali dużo i swobodnie na obraz patrzeć się, wsłuchiwać się weń nie dawali. Bo Matejkę słuchać potrzeba, styl jego ma tę właściwość, że z martwych obudza, że to, co artysta namalował, żyć musi i żyje. Utwór Matejki nabyty przez p. Maurycego Potockiego, pozostaje w Warszawie. Przez luty i marzec oglądać go było można w bardzo niegościnnem świetle zielono-żółtem, jakie sobie gospodaruje w dolnej sali Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Gdyby Matejko był sam w Warszawie, nigdyby na takie umieszczenie obrazu swego nie pozwolił. Znalazłby dlań wdzięczniejszą, odpowiedniejszą salę — choćby w Resursie Obywatelskiej. Takie miejsce dostało się obrazowi p. Gersona „Kiejstut i Jagiełło“ z wystawy wiedeńskiej.

Mało, bardzo mało osób, jak na tak znaczną ludność, odwiedziło obraz Matejki. Sztuki piękne nie mają u nas jeszcze wyrobionej dla siebie publiczności. Trudno! — nie od razu Kraków zbudowany — a nasze warszawskie malarstwo nie zbyt przyciąga i kształci. Wiele do obudzenia zamiłowania przyczynić się może poważna, rozumna, przystępnie podawana krytyka estetyczna. Miejmy nadzieję, że taką krytykę znaleźć będzie można w zapowiedzianym organie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Projekt tego wydawnictwa jest już blizkim urzeczywistnienia, a pismo samo wychodzić będzie w postaci dodatku do „Tygodnika illustrowanego“.

Weszliśmy w dziedzinę sztuki. W przeszłej pogawędce wspominałem o Słowackim i jego miłościach. Dziś piszę o jego grobie, o nagrobku wzniesionym mu przez Oleszczyńskiego. Czas temu nagrobkowi „zębem zatrutym boki ogryza nieznacznie“ mówiąc słowami samego poety. Wyrobiony z miękkiego piaskowca, niedługo się już powietrzu opierać będzie. Popiersie okazuje już skazy i traci

plastyczność jaką mieć powinno. Niemałą będzie zasługą młodego rzeźbiarza p. Tadeusza Wiśniowieckiego, że skombinowawszy zarysy oblicza, takie, jakie wytworzył w płaskorzeźbie swojej Oleszczyński, z podaniami osób, które znały zmarłego poetę, wytworzył nowy medalion en *bas-relief*, mający się odznaczać pięknem wykonaniem i podobieństwem. Ten medalion pewno na naszej wystawie widzieć będziemy.

Nie wiem co powie o Słowackim p. Nitschmann w Elblągu, wydający w języku niemieckim Parnas polski (Der polnische Parnass); ale wydawnictwo jego sympatyczne, z wdzięcznością przyjętem i przez ogół popartem być winno. O takie poparcie uprasza autor. Mianowicie wszelkie wskazówki biograficzne nie zamieszczone w podręcznikach, a większą mające doniosłość, pożądanemi będą dla wydawnictwa. Kto co wie — nie krępując się względami formy, w języku polskim, żywcem nadesłać może pod adresem: *F. Nitschman in Elbing, West-Preussen. Herausgeber des Werkes: „Polnischer Parnass“.*

* * *

Ważną, piękną teraz rolę odgrywa kobieta amerykańska. Jak długo w niej wytrwa i jakie będą z jej pracy trwałe skutki — w to nie wchodzę, ale sam fakt obowiązany jestem podać do wiadomości czytelniczek „Bluszczu“. Znane jest pijaństwo Amerykanów, wyraża się ono w ogromnych procentach ludności, ginącej corocznie przez wódkę. Wódka stanowi tak wielki artykuł handlu w Stanach Zjednoczonych że na samej tylko akcyzie, wykryto przed półtorarokiem, na 170 miljonów franków nadużyć spełnionych w ciągu lat kilku. Otóż kobiety stanęły w obronie swych praw, godności swojej, ognisk domowych, dziatek i samego nawet życia, któremu pijaństwo mężów i braci zagraża. Obrały do tego formę, jakiejby najmniej w Ameryce spodziewać się można, formę bardzo oryginalną a poetyczną. Śpiewają psalmy pod oknami szynków i psalmami niby chłostą duchową wypędzają opilców z przybytków *wiskeyowi* poświęconych. Organizują się w tym celu w kółka różańcowe, które naprzemian pełnią służbę pod oknami ważniejszych nor wódczanych. Śpiewy ich, poświęcenie nie pytające się o zimno i słotę, wystawiające na wszystkie przykrości, na jakie wejście do szynku wystawiać musi — odnoszą już teraz owoce. Bardzo wiele szynków w mniejszych i większych miastach pozamykano; ojcowie popowracali na łono rodzin; praca i zarobek się wzmogły, wracają porządek i miłość. Ruch nazwą bardzo właściwą *Wojna wiskeyowi!* ochrzczony głównie ześrodkowany jest w stanie Ohio i w południowej jego stronie, na pierwszy rzut oka widoczne już wydał rezultaty. Propaganda idzie dalej na wschód ku brzegom. Dotarła już do New-Yorku i Filadelfii. Tu cywilizacya myśli jej stawić tamę państwową. W samym New-Yorku obawiać się należy otwartej wojny między stronnictwami przyjaciół i nieprzyjaciół wódki. W tej Ameryce wszystko, co się pojawi, przybrać zaraz musi olbrzymie rozmiary; w Filadelfii kwakierskiej sprawa pójdzie łatwiej niż w New-Yorku; Filadelfia w marcu r. b. podejmowała już inicyatywę w utworzeniu Towarzystwa wstrzemięźliwości, które stanowi drugą, doskonalszą, właściwszą formę myśli podjętej przez kobiety. Trzecią najwyższą formą ma być umiarkowanie, miłość pracy i życia rodzinnego; przy tych czynnikach *wiskey* nie będzie już niczyim nieprzyjacielem i nikt nie będzie potrzebował wypowiadać mu wojny.

* * *

Na zachodzie poruszaną jest teraz silnie myśl palenia ciał zmarłych; głównym jej propagatorem na Niemcy są: lipski profesor czy doktor Reclam i bracia Simens; na Włochy Brunetti i Gorini; na Anglię Dr Henry Thompson. Józef Ignacy Kraszewski pisał już o tem paleniu ciał w swoim „Liście z zagranicy“ do „Bluszczu“. Niektóre gminy Szwajcaryi w zasadzie już postanowiły znieść dzisiejsze cmentarze, jako zabierające wiele miejsca i świeżego powietrza. Groby kamienne i piękniejsze od nich zielone mogiły, zastąpią urny marmurowe. Cześć zmarłych, tak jak za czasów greckich i rzymskich, przeniesie się do domów, zjawią się znowu Many, Lary — a za niemi i Penaty. Wrócimy się znowu tam, zkądeśmy wyszli, jak wykładał Goethe w swoich: „Wahlverwandschaften“. Podobno nawet biskup bazylejski nie jest przeciwny zastąpieniu formy, która się sprzykrzyła, nową, która się dopiero sprzykrzy. Municypalność wiedeńska nad urządzeniem cmentarza nowego w początkach b. r. obradowała w tych widokach, aby z czasem dać możność palenia ciał, tym którzyby, popioły swoich ukochanych, w literalnem znaczeniu popiołu, mieć chcieli. Istnieje już w nauce kilka systematów niszczenia ciał ludzkich przez ciepło. Zwyczaj palenia jest pra-starym w ludzkości: zniosła go dopiero doktryna chrześcijaństwa o zmartwychwstaniu po śmierci.

* * *

Wyszło już z druku dzieło pośmiertne Mścisława Kamińskiego p. t.: „Kobieta, miłość i małżeństwo“. Nie jestto żadna praca rozumowana lub historyczna, jeden ścisły przedmiot traktująca, ale zbiór najprzeróżniejszych zdań o kobiecie *pro* i *contra*. Wydawnictwo bardziej zaciekawiające niż nauczające, ale w swoim rodzaju dobre i każdemu zalecić je można. „Bluszcz“ zaznajomi bliżej czytelników swoich ze zbiorem ułożonym przez ś. p. Kaminskiego.

* * *

Pan Edward Rędziejewski-Łojko zarzuca od pewnego czasu pisma peryodyczne ogłoszeniami, w których usiłuje przekonać publiczność, że w jego zakładzie rękodzielniczym dla kobiet, nauka buchalteryi prowadzona była dotychczas w sposób nieodpowiadający słusznym wymaganiom. Jest to objaw wielkiej szczerości ze strony p. Łojko: oskarżając nauczyciela, oskarża on samego siebie, odpowiedzialność bowiem za złą naukę na nim samym ciążyć ostatecznie będzie. Dobrze, że choć późno p. Łojko przekonał się o niezadawalniającym wykładzie — a o ile wiemy, nastąpiło to dopiero wtedy, gdy już nie miał kto buchalteryi wykładać, a wykładanej słuchać.— Po trzech miesiącach nauki p. Łojko zajrzał w księgi i z ksiąg się przekonał o dwóch rzeczach: 1) że wykład był złym; 2) że był skończonym. Nauka trwać miała miesięcy cztery, i gdy nadszedł czwarty miesiąc zażądano od uczennic opłaty, której tylko skutkiem zbiorowego wystąpienia ich z instytucyi pod kierunkiem pana Łojko zostającej, nie pobrano. Gdyby nie to wystąpienie, możeby i kurs buchalteryi nie wydał się zwierzchnikowi ukończonym, możeby nawet i złym w jego oczach nie był. Ale kiedy już takie jest przekonanie p. Łojko, lepsze ono niż żadne: publiczność znajdzie w niem przestrogę, że zakład nie zupełnie dobrze jest kierowanym. Pan Rędziejewski-Łojko obok przekonań spóźnionych miewa także i swoje nagłe, raptowne, niespodziewane błyski myśli. Tak *np.* zabłysła mu nagle myśl podniesienia, po dwóch miesiącach nauki, opłat od buchalteryi z 8 rs. na 10 miesięcznie. Możnaby to jeszcze wytłumaczyć nieprzewidywaną drogością pracy nauczycielskiej. Ale czem wytłumaczyć podniesienie ceny książeczek szkolnych z kop. 15 na 20. Książeczki były już raz kupione, i na półkach zakładu wyższej wartości nabrać nie mogły. Czem wytłumaczyć i to, że zwierzchnik nie chciał spełnić prostego obowiązku grzeczności, i na prośby kilkakrotnie ponawiane uczennic swoich, odmówił osobistego stawiennictwa dla porozumienia się? Ogłoszenia w gazetach nie zakryją prawdy, a w świetle jej sprawa z nauczycielem odmiennie się zupełnie przedstawia, niżby to mieć chciał p. Łojko. Zawód, jeżeli nastąpił, to nie ze strony nauczyciela ani uczennic. Możemy zapewnić p. Łojko, że *po trzech miesiącach kurs buchalteryi nie był jeszcze skończonym* i że ukończenie go w czwartym miesiącu stało się w zakładzie niemożliwem.

Pan Łojko z samego początku starannie usunął zakład swój z pod kontroli prasy i opinii publicznej. Lepiejby dla niego było, gdyby przez jawność postępowania wyrabiał dla instytucyi swej zaufanie, tak pożądane. Najlepsza byłaby to droga do przytłumienia różnych pogłosek krążących o nieodpowiedniości tego lub owego wykładu, najlepsze zadośćuczynienie dla rodzin, które doznały zawodu w rozpoczętym a nieukończonym, i jak sam p. Łojko przyznaje — źle prowadzonym — kursie buchalteryi.

* * *

P. Schlesinger nie ukończył jeszcze sporu swego z p. p. składnikami maszyn do szycia, dawniej w Warszawie zamieszkałymi. Publiczność sprawie się przysłuchuje, pisma codzienne pobierają opłaty od reklam, świadectw i protokułów; każda strona zadowolona jest z siebie, publiczność zadowolona jest znowu z obu razem wziętych, bo ma i u jednej i u drugiej maszyny o wiele tańsze niż dawniej, przy tej samej dobroci. Wszystkim więc dobrze; okazuje się, że przyjazd nienawistnego pana Louis Schlesinger nie był bez pożytku.

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPÓŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

Tak mijały tygodnie, dalej miesiące, Maruk-bej w mehanie mieszkał, pracy się żadnej nie oddawał, z Bulgarami wyłącznie przestawał, mehandżemu regularnie i akuratnie płacił i nagle znikł. Zniknięcie to stało się powodem podziwu ogólnego. Zabrakło czegoś. Osobistość przybysza, który się wszędzie wkręcić umiał i którego w każdem oczekiwano miejscu, stała się niejako potrzebą życia codziennego, ornamentem miasteczkowym, którego brak dał się uczuć. Przyzwyczajono się słuchać opowiadań bez końca o Garibaldim i o nimże samym, Maruk-beju, przeplatanych szczegółami ciekawemi o sułtanie, o królowej angielskiej, o cesarzu Francuzów, o królu Włoch. Podejrzywano, że opowiadania te, w części jakiejś, a może w całości nawet, z prawdą się mijały. To jednak nie umniejszało wartości człowieka, co wprowadził urozmaicenie w towarzyski byt Zarnicy, idący trybem wiecznie jednakowym.

— Co to się stało?—pytał Bulgar Bulgara.

Nikt odpowiedzieć nie umiał. Mehandżi należał do zdziwionych najbardziej.

— Poszedł z wieczora spać — opowiadał. Przed odejściem rozpytywał z czego będzie czorba na jutro, mówił bowiem, że mu się już jagnięcina przejadła, i radby się wołowiny doczekać. Odszedł i tylem go widział. Nie kładł się, bo pościel pozostawił nienaruszoną.

Słowem jednem, Maruk-bej wpadł, jak kamień w wodę.

XVIII.

Pod dozorem.

— Upłynęło tygodni parę spokojnie w Zarnicy. O przybyszu zapominać poczęto, jak o skoczku na linie, co publiczność zabawiał, Znikł—dziwiono się temu zrazu; po zastanowieniu jednak, gdy się dowiedziano w jaki się wziął sposób, i temu dziwić się przestano. Poszedł jak przyszedł. Jedno tylko coby do myślenia i do wniosków jakowychś powód dać mogło, była to tajemnica egzystencyi jego, do wytłumaczenia trudna. Przybył bez grosza przy duszy, pozostawał na utrzymaniu doktora, a gdy ten subsydiów odmówił, utrzymywał się kosztem własnym. O tem jednak sam podobno doktór tylko wiedział, nikt więcej.

Upłynęło drugich tygodni parę. O przybyszu w Zarnicy w ogóle zapomniano, aż w rodzinie Szumlańskich przypomniano sobie o nim niespodzianie dzięki listowi, jaki doktór otrzymał od mister Waytona z Gałacu. Jak wiadomo, jestto miasto w dolnej Mołdawji, portowe, dość ludne, i bardzo brudne i mocno handlowe, zamieszkałe przez Greków, Ormian, Żydów, rozmaitych cudzoziemców i Mołdawian.

— Mam pisanie od przyjaciela — oznajmił doktór na wieczornem posiedzeniu.

Na zapytanie skąd, podał nazwę miejscowości, o której musiał jeszcze i bliższe podać szczegóły, albowiem tak stary, jak i Aleksander i Stojan, słyszeli o Gałacu dużo i ciekawi byli dowiadywać się szczegółów jaknajwięcej o mieście, odegrywającem we względzie handlowym rolę jedną z ważniejszych. Doktór objaśnił ich o ile mógł pod tym względem i stary na to:

— Cóż ten Anglik tak się do Gałacu przywiązał!...

— Co dziwniejszego—podchwycił doktór—że się tam i nasz Maruk-bej znajduje.

— A on że tam po co?...

— Prawi zapewne ludziom o Garibaldim.

— I o sobie—dodał Aleksander.

— Naturalnie... Mister-Wayton chce, żebym mu o nim napisał: co on tu porabiał?...

— Co porabiał?... Kłamał i tyle.

— Nie wszystkoż kłamał—ujął się Stojan. W gadaniu jego coś i prawdy być musiało.... Miał przecie ordery.

— U!...—mruknął stary z przyciskiem.

— Order od Garibaldego.

— Aż doktór wytłumaczyć musiał, że Garibaldi orderów nie udzielał żadnych, dopiero Stojan uwierzył, i to tylko przez pół, utrzymywał bowiem, że Garibaldi lubo orderów nie udzielał nikomu, a przecie udzielić mógł komuś jednemu, wyjątkowo.

— Maruk-bej miał kulę w sobie... toć to już prawda...

— Prawda, odpowiedziano jednozgodnie:

— Otóż prawdą taką samą i order być może.

— Od sułtana, od cesarzów i krolów wszystkich tylko nie od Garibaldego.

Nie przekonało to ostatecznie Stojana, w mniemaniu którego Garibaldi stał tak wysoko, jak sułtan przynajmniej.

Mniejsza jednak o to. Wspomnienie o Maruk-beju przesunęło się w rodzinie Szumlańskiego i tego jeszcze wieczora z uwagi wypadło. Notujemy je mimochodem, mając o czemeś ważniejszem nieco do mówienia.

Straciliśmy z oczu Kir-Michałakiego. Czyżby i on wpaść miał, niby kamień w wodę, jak Maruk-bej?...

Cóż porabia mudir, zacny i szanowny młodej Turcyi przedstawiciel?...

I Kir-Michałaki i mudir, przez czas cały, w którym uwagę naszą przybysz zaprzątał, pozostawali w Zarnicy na stanowiskach swoich i cieszyli się zdrowiem czerstwem, przy humorze nie jaknajlepszem.

Zabawnem było zejście się ich, po powrocie Kir-Michałakiego z Ruszczuku. Nie śmieli jeden drugiego słowem zaczepić. Chrząkali, raz ten, znów ten, nosami czmychali, aż razem obydwa odezwali się:

— A co?...

Karamból tego „a co“ to sprawił, że znów obydwa w milczenie zapadli i po upływie chwil kilku razem westchnęli i razem wymówili wyraz:

— *Kałabałyk*....

Wyraz ten dopiero języki im rozwiązał. Nie przyznali się jednak, że spłodzili głupstwo kolosalne. O nie! Któż się do podobnych przyznaje rzeczy!... zwłaszcza, zajmując, jak mudir, stanowisko urzędowe i jak tiutiundżi półurzędowe. Głupstwa, według nich, nie było w tem najmniejszego, a zrządzenie losu... nieszczęście. Był przytem ktoś winien, żaden z nich jednak.

— Kto tu winien!...—zawołał Grek — to ten łotr łajdak, chytrzec, ten wisielec, którego kula jedna minęła, ale druga nie minie, ten... Stojan!... On mi to te pieczęcie podsunął!... Gdyby nie te pieczęcie nieszczęsne, toby mi i regulowanie pozycyi na myśl nie przyszło. O! poczekaj ty, bulgarski wyrzutku, nie ujdziesz ty ręki mojej, chyba zginę!...

Groził pięścią w powietrzu, wzdychał i stękał i w ten sposób spędził żal.

Mudir nie unosił się. Turcy w ogóle posiadają takt wrodzony, skutkiem którego nieszczęścia, plagi, kompromitacye, obelgi nawet, znosić umieją z godnością. Z godnością kapitan brał w kark od czubukdżijów paszy; z godnością mudir od tegoż paszy przyjął nazwę głupca, jaką mu ten w reskrypcie przesłał, komunikując mu przytem instrukcyę szczegółową co do postępowania dalszego.

Po wysapaniu się Greka, zawiązała się rozmowa. Kir-Michałaki zdał sprawę z bytności swojej u Zia paszy, kończąc powtórzeniem zlecenia paszy, aby mieć na oku cudzoziemców.

— I ja podobne dostałem zlecenie... Sefer pasza nakazuje: mieć na oku, donosić, samemu nic nie przedsiębrać i...

Reszty nie dopowiedział, jakby się w język ugryzł.

— I co?...—zapytał Grek.

— Nic... donosić i samemu nic nie przedsiębrać.

— Nic więcej?...

Przebiegły Grek poznał, że mudir coś przemilczał. Mudir jednak odpowiedział stanowczo:

— Więcej nic.

— A tu — podchwycił Kir-Michałaki — jakby pasza jeden i pasza drugi zamówili cudzoziemca do Zarnicy... przybłąkał się jakiś.

— A tak, wiesz o tem. Mówisz zapewne o Madżarze, co w mehanie przebywa?...

— O nim samym. Przywiózł go doktór.

— E?...—odezwał się mudir zdziwiony. Z pewnością?...

— Z jaknajwiększą.

— Jakże o tem wiesz?...

— O — odrzekł Grek, pokazując sobie na oczy. Widziałem.

Mudir ramionami ścisnął.

— Nic nie rozumiem.

— Czego nie rozumiesz?... — zapytał Grek. Powiedz, to ja ci może do zrozumienia pomogę.

Turek cmoknął i głową rzucił, z giestem takim, jakby powiedzeć chciał: Nie głupim.

„Kto się na gorącem sparzy, ten na zimne dmucha“. Mudir oparzył się mocno na tłumaczeniu punktów zagadkowych przez Kir-Michałakiego i dla tego nie wynurzał już przed nim, jak to czynić był zwykł poprzednio, wątpliwości wszelkich zachodzących we względzie instrukcyi władzy wyższej. Grek spostrzegł to. Nieśmiał jednak ani się skarżyć ani nastawać na mudira, nieufność którego usprawiedliwioną była jak najzupełniej. Jedno, co mu pozostawało, było, oczekiwać zadośćuczynienia od gojącego rany wszelkie czasu i usiłować stać się potrzebnym. Rozwinął też gorliwość wielką, ale gorliwość woli, albowiem, co się innej tyczy, miał ręce związane, zamknąwszy sobie wstęp do domu Szumlańskiego. Żadnym czołem nie mógł się tam pokazać. To go przyprowadzało do wściekłości, której nie miał spędzać na kogo innego, jeno na swoich.

— Strzygi!—przemawiał do matki i siostry. Czego wy mnie prześladujecie?...

Kobiety, jak to w ich zwyczaju było, milczały, jedna z ustami zaciśniętemi i z oczami w dół spuszczonemi, druga z gębą otwartą i ze wzrokiem do góry wzniesionym.

— Co ja wam winien?...

One milczały.

— Objadacie mnie i w oczy mi leziecie! Nie mam dnia spokojnego, ni godziny wolnej!... Jeśli was nie widzę, to czuję... tam... nad sobą... dwie strzygi siedzą na mnie i krew mi piją!...

Takie miał na ustach słodkie słowa dla matki i siostry. Brata traktował nie lepiej.

Razu jednak pewnego, przy obiedzie, który nie był takim jak ów którego opisanie daliśmy w jednym z poprzednich, rozdziałów odezwał się do nich inaczej.

— Napchaliście się?...—zapytał

Matka siostra i brat mieliby ochotę odpowiedzić, iż mogliby, dla zaspokojenia apetytu, włożyć jeszcze do żołądka sześć przynajmniej razy tyle, ile włożyli i nie byłoby za wiele; woleli jednak odpowiedzieć jednozgodnie głów kiwnięciem połączonem z głębokiem westchnieniem.

— Napchaliście się... Wy to jedno tylko umiecie Cóś zaś zrobić, w czemś mi dogodzić, dopomódz — cmoknął i głową rzucił — *jok*....

Matka oczy podniosła i długiem przeciągłem spojrzeniem syna oblała. W spojrzeniu tem było i zapytanie i prośba.

Kir-Michałaki począł palcami po stole bębnić, następnie wziął nóż i trzonkiem o stół stukał, a stukając odezwał się.

— Chcę się żenić.

Zaledwie wyrazy te wymówione zostały, już słyszeć się dały dwa z dwóch piersi na raz wyrzuczone wykrzykniki.

— Joj!...

Wykrzykniki te wydały matka i siostra.

Kir-Michałaki groźnie na nie spojrzał. Kobiety zamilkły. Jedna usta zacisnęła i oczy spuściła, druga usta rozwarła i oczy do góry podniosła. Kir-Michałaki z przyciskiem trzonkiem o stół stuknął i znów się odezwał:

— Chcę się żenić.

I zamilkł, jakby się namyślał.

Matka i siostra oczy w niego utkwiły.

— Wiecie z kim?...

— Z lubą, zapewne—odrzekła matka.

— Z lubą, do której się dostać trudno, taka przed nią stoi trzoda wrogów....

— Wrogów się odsyła—podchwyciła stara.

— Dokąd?...

— Do mogiły.

Grek spojrzał matce w oczy, ta zaś ciągnęła dalej:

— Od tego są noże, kule, zioła, proszki.

— Chcę ja ich odesłać, ale na to potrzeba mi wiedzieć, co oni robią, co mówią, co myślą... potrzeba mi wiedzieć o tem wszystkiem z dnia na dzień z godziny na godzinę.

Matka i siostra pytające wzroki na oczach jego trzymały.

— Potrzeba mi cieniów, któreby za nimi śladem chodziły, a którychby oni spostrzedz nie mogli.

— Powiedz, kto oni—wtrąciła matka.

— Hę?—zapytał Kir-Michałaki.

— Wskaż ich!...

— W ulicy na prawo z rynku stoi dom starego Szumlańskiego a w domu tym mieszka rodzina cała stary i stara, syn jeden, synowa i dzieci troje, syn drugi, zięć i córka i dziewczyna. Wszystko to wrogi moje.

— Z wyjątkiem dziewczyny—wsunęła stara.

— I dziewczyna... Ale z nią chcę się żenić. Wiecie więc o co chodzi....

Matka i córka spojrzały sobie w oczy wzajemnie Kir-Michałaki nic więcej nie mówił, o nic niepytał, one też z niczem się już nie odzywały.

Od momentu tego, każdego wieczora przy obiedzie, powtarzała się następująca rozprawa. Kir-Michałaki po zjedzeniu swojej porcyi i odsunięciu resztek dla rodziny, wydłubując zęby, zapytywał:

— No?...

Na zapytanie to kobiety obie odpowiadały razem rozpoczynając relacyę. Kir-Michałaki ręki skinieniem nakazywał milczenie jednej i, wysłuchawszy w milczeniu tej, której mówić dozwolił, wyzywał oczami do mówienia drugą.

Relacye te składały się niezmiernie z podpatrzonych czynności i podsłuchanych urywków rozmów. Greczynki, korzystając ze zwyczaju osłaniania się kobiet i z przywileju starych niewiast chodzenia po mieście, włóczyły się po ulicach dniami całemi, śledząc za krokami członków rodziny Szumlańskich. Szły za nimi do sklepów, do kawiarni, na rynek; ktokolwiek się do nich zbliżał, wnet podchodziły i ucha nadstawiały. Nie trzymały się nigdy razem. Jedna udawała się w jedną, druga w drugą stronę, jedna zaś z nich, pod rozmaitemi pozorami, wciskała się od czasu do czasu do domu. W ten sposób z cząstek układała się przy końcu dnia każdego pewna całość, zaokrąglenie i dopełnienie której zależało całkowicie od domyślności Kir-Michałakiego. Tą drogą, naprzykład, dowiedział się, że nazwisko „Garibaldi“ kursuje w ustach Bulgarów zarnickich i wyciągnął z tego wniosek, który sobie zakarbował w pamięci. Tą drogą dowiadywał się i o innych różnych rzeczach, które mu do wniosków rozlicznych pochop podawały. Stara mu doniosła razu pewnego, że Stojan przeznaczony jest do gadania z Garibaldim.

— Che che—zaśmiał się z przyciskiem.

Kobiety oddawały mu usługi ważne, dostarczając co dni kilka materyału sporo do ułożenia raportu i wysłania takowego do Zia paszy przez Jordakiego. Jordaki został kuryerem, przebiegającym ustawicznie, tam i napowrót, przestrzeń pomiędzy Zarnicą a Ruszczukiem.

Musimy jednak zaznaczyć tu osobliwość jedną. Matka i siostra Kir-Michałakiego doskonale przyjętą na się funkcyę pełniły, docierając tam, gdzieby tiutiundżi sam dotrzeć nie był w stanie. Wciskały się one, jak rzekliśmy wyżej, do domu Szumlańskiego i dostawały się pomiędzy kobiety, co im z tem większą przychodziło łatwością, że te ich nie znały. Pomimo to, domu tego tajemnicy odkryć nie mogły.

Razu pewnego Greczynka stara wsunęła się po cichu na podwórze i zaglądała w kąty wszystkie. Ktoś ją zoczył i zawołał na nią.

— Bre!... he!... a czego to ty tam szukasz?...

— Nie dowidzam — odparła oczy mrużąc. Szukam wejścia do domu i trafić nie mogę.

— Coś ty za jedna?...

— Ja... o.!. ja Aglaja.

— Co za Aglaja?...

— Przychodzę i odchodzę. Wróżę przyszłość.

— Skąd że ty?

— Ach! z tego tam miasta, co się tak nazywa jak je ludzie nazywają.

Udawała na umyśle upośledzoną i pod tą maską dostała się do Aleksandrowej, która ją posadziła, nakarmiła, chleba kawałek i sera odrobinę do ręki jej dając wyprawiła. Wychodząc, natknęła się na podwórzu na dzieci, do domów się udające. To uwagi jej nie zwróciło, a to dla tego może, że doktorowa wypuszczała dzieci nie wszystkie razem, lecz po troje. Spotkała się więc z trojgiem dzieci i przeszła, wieczorem zaś o dzieciach tych synowi ani wspomniała.

Po niejakiemś czasie znów do domu Szumlańskiego zaszła. Ciągnęło ją to, że jej tam jeść dano. Dla niej, u syna głodzonej, był to magnes potężny. Tym razem dostała się do starej Szumlańskiej i znalazła ją w otoczeniu dzieci i wnuków. Widok ten poruszył ją do głębi. Matka przez dzieci szanowana była to osobliwość, przedstawiająca się jej pod postacią bajeczną. Stanęła, wpatrzyła się i stare jej oczy łzami się napełniły.

— Cóż ty, niewiasto, na środku izby stoisz?... — odezwała się Szumlańska stara.

Ona zapytania tego nie słyszała.

— Przychodziła już raz — rzekła Aleksandrowa. Ofiarowywała się przyszłość przepowiadać.

Przy słowach tych Greczynka oprzytomniała.

— A tak... tak — podchwyciła. Może wiedzieć chcecie, co komu wypadnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

Lyceum dla kobiet w Dreznie panny Clary von Hake. — Plan wykładów.—Kobiety w Niemczech i ich wykształcenie. — Duch i kuchnia życia.- Historya niewieściego niemieckiego świata J. Scherr'a.—Kwestya kobiet. — L'homme-femme Dumasa po niemiecku. — Jezuityzm w domu pani Dohm.—Małe próbki z niego.—Świat niemiecki.—Kobiece działanie w kuchni, domu i salonie pani M. Calm. Wykształcenie kobiet i stowarzyszenia kobiece pani Alrebi. — Aforyzmy w kwestyi kobiet, M. Müllera. - Kobieta i jej powołanie p. L. Büchner.—Wpływ kobiety na rodzinę i społeczeństwo, odczyt pani H. Goldschmidt w Lipsku.—Uniwersytet Oksfordzki i kobiety.—Żony żołnierzy angielskich.—Listy do nieznajomej przez Merimée. - Jak się pisze historya.—Kilka słów o Listach.—Pani Sand i jej powiastki fantastyczne.

Zakład wyższy naukowy dla kobiet, o którym w przeszłym liście wspomnieliśmy, połączony z pensyonatem, *Lyceum* (Fortbildungs Institut), które otwiera od W. Nocy panna Clara von Hake;—zapowiada odczyty w przedmiocie historyi, literatury, jeografii porównawczej, dziejów sztuki i historyi naturalnej, kursa języków, rysunków i muzyki. Zakład ten dla panien, które zwykłe szkoły żeńskie ukończyły, jest przeznaczonym.

Na zapytanie nasze, odpowiada nam założycielka iż w półroczu pierwszem (raczej kursie) od 15 kwietnia do 15 lipca, następujące odczyty są na programie. Prof. dr Ad. Stern—historya powszechna literatury współczesnej, dr Veller — historya rozwoju zwierzęcego świata; prof. dr Emil Naumann, dyrektor nadwornej muzyki kościelnej—historya i teorya muzyki; dr Haebler—historya Niemiec w XIX wieku, dr Elsner—chemia gospodarska (domowa) i dr docent Teod. Seemann—historya sztuki, budownictwo i ornamentyka; oprócz tego wchodzą w plan kursa języków, rysunku i malarstwa [1]).

Zapowiedziany więc ten zakład wyższy, lyceum, niema jeszcze stale oznaczonego planu nauk i jest tylko zbiorem wykładów, zapewne bardzo użytecznych, ale w żaden systemat nie ujętych.—Być może, iż na drodze doświadczenia dojdzie on później, rozszerzając się, do programu wyrozumowanego, do rozkładu kursów, do podziału ich i pomnożenia takiego aby w jednym kierunku kształcenie się wysoko posunięte być mogło. Tak jak dziś jest lyceum—encyklopedycznem wygląda po troszę i zastosowanem raczej do sił, jakie się nastręczały, niż do potrzeb rzeczywistych. Niepodobieństwem też było, z ograniczonemi środkami, prywatnemu przedsiębierstwu, nie mogącemu obrachować przyszłości, wykonać to na większą i wymaganiom czasu odpowiadającą skalę, zwłaszcza w mieście jak Drezno o 200,000 mieszkańców, nie śmiejąc prawie liczyć na miejscowe żywioły, tylko na obcych zamieszkałych tu Amerykanów, Anglików, Rossyan i t. p. Zaledwie w większej stolicy dałoby się dokonać coś podobnego. Znając tutejszą społeczność niemiecką, nie dziwujmy się wcale pannie von Hake, iż dla niej lyceum większych rozmiarów zakładać nie śmiała.

Tu wymagania są niewielkie, oszczędność zbyteczna,—samouctwo systematem, a wyższe wykształcenie u kobiet bardzo wyjątkowem.

Pensya i szkoła zupełnie starczą potrzebom. Pragnienia wiedzy niema zbytnio rozwiniętego, a natomiast obowiązek pracy opłacającej się, aż do zbytku uczuty. Praca zaś, któraby sięgała wyżej i siły czerpała w nauce, a chciała wyjść z granic powszednich, z dróg ubitych—tu się prawie nie spotyka.

Matka, która skończyła kilkoklasową szkołę, a w dodatku chodziła trochę do konserwatoryum, nie żąda dla córki ani więcej nic, ani nic innego. — Tego zapału jaki widziemy u nas, u Słowian w ogóle, u narodów krwią i duchem młodszych, trudno tu spotkać. Wyjątkowe usposobienia, wyjątkowe położenia kształcą kobiety. Córka muzyka wychodzi na wirtuozkę jak panna Krebs, córka profesora na literatkę.... ale córka urzędnika szuka sobie w biurze narzeczonego, czyta Schillera, Goethego, trochę powieści z czytelni i na tem koniec... Troska o życie powszednie zabija ducha. Jest ona usprawiedliwioną, bo tu ono nie łatwo się zdobywa i w ogóle zarobkowanie ciężkie, mozolne, a potrzeby średniej klassy dosyć wielkie. Życie to nie zbytkowne, ale pewnych wygód niezbędnie się domaga. Z każdym dniem ceny ich rosną, stosunkowo praca do nich ułożyć się nie może, wymaga mało—to nie starczy, zaceni się wysoko, niema odbytu. Jestto chwila przesilenia jak wszędzie, oddziaływająca i na kobiety i na ich wykształcenie. W świecie trzyma się wszystko.... warunki ekonomiczne oddziaływają na oświatę. Nie rychło więc w Niemczech spodziewać się można postępowej reformy w wychowaniu kobiet, które tu mniej nawet praw jakichkolwiek bądź się dopominają, choć pod tym względem więcej niż gdzieindziej pokrzywdzonemi, osamotnionemiby się czuć mogły. Być może iż flegmatyczne usposobienie przyczynia się do ograniczenia tym *statu quo* i zadowolnienia tem, co jest, byle gorzej nie było.—Wpatrując się blizko w to społeczeństwo — ze smutkiem nabraliśmy przekonania, iż realizm pochłonął w niem wszelki gorętszy popęd ku podniesieniu się duchem. Jak mężczyzna tak kobieta ceni naukę tylko z utylitarnego stanowiska, stara się co rychlej dojść do tego kresu, który dozwoli zużytkować nabyte i tem się zaspokaja. Wyjątkowe organizacye z popędami ku czemuś wyższemu, bardzo są rzadkie, a co gorzej, najczęściej zwichnięte. — Wiele apatyi i rezygnacyi w całym żywocie — zastygnienia i obojętności. Na inteligencyi nie zbywa, ale sprężyn, coby ją do ruchu budziły, braknie. Nigdy się tak nie czuje ogromnej różnicy usposobień w różnych plemionach, jak żyjąc wśród obcych. Na pozór ludzie i świat ten sam, analogie nieskończone, uderzające — ale też i sprzeczności niesłychane! W danym wypadku zupełnie odmiennie postąpi sobie polka a niemka. Inne są pragnienia, powiedziałbym, cel i pojęcie życia...

Ponieważ raz już o ten przedmiot potrąciliśmy, nie od rzeczy będzie, choć po krótce, wspomnieć, co w kwestyi położenia, stosunków i wychowania niewiast w tym czasie wydano w Niemczech.—Oto najprzód trzecie, poprawne wydanie *Historyi niemieckiego niewieściego świata*, przez znanego historyka cywilizacyi p. Jana Scherr (Geschichte der deutschen Frauenwelt, Lipsk, Wigand 1873, 2 tomy)—historyi która się poczyna w puszczach Germanii od postaci legendowych Aurinii, Velledy, Ganny, Thusneldy i Bissuli. Scherr w dalszem rozwinięciu dziejów i historyi kobiety chrześcijanki stoi na stanowisku zupełnie protestancko-niemieckiem, albo raczej na sobie właściwem, a znanem z innych dzieł jego.

Dzieje opracowane są wedle źródeł, przedstawione żywo, malowniczo, w sposób zajmujący — lecz dla naszych czytelniczek wydałyby się do zbytku jaskrawemi.

P. Lutz przetłumaczył hr. Agenora Gasparin. „Czego kobiety pragną?“ (Was die Frauen fordern? — Bremen — Heyse) zaszczyciwszy w przedmowie autora frazesem *à l'allemande*, bo go uznał godnym „*być niemcem*“. Wiadomo, że Gasparin zupełnej równości praw dla kobiet wymaga.

Dalej idzie broszura: „*Kwestya kobiet i jej treść główna: życie starej panny ze szczególnem uwzględnieniem wychowania dziewcząt*“. (Guttersloh — Bertelsmann. 8° 1873). Ze względu na religijne stanowisko kobiety protestantki, autorki tego pisemka, zasługuje ono na szczególną uwagę... Nie idzie jej o samo położenie materyalne kobiety, ale o moralne jej stanowisko i znaczenie. Do szeregu nowości w tym przedmiocie trzeba zaliczyć i Dumasa: *L'homme femme*“, tłumaczenie wiedeńskie, o którem mamy prawo zamilczeć, zresztą jako o rzeczy znanej, osądzonej i tak prędko zapomnianej, jak zrazu zbytnio podniesionej.

(Dokończenie nastąpi).

KOBIETA

I WYMIAR KARY W SPOŁECZENSTWIE.

(Dokończenie).

Za dalekoby mnie zaprowadził rozbiór i bliższe roztrząsanie podobnego zarzutu; czasu już i tak waszego, szanowni słuchacze, nadużywam, a przedmiot niewyczerpany, taka zeń płynie obfitość! więc na zarzut powyższy krótko odpowiem, że przyjmując nawet postawione założenie przewagi uczucia, co ostatecznie, jako prawda bezwzględna odnośnie do wszystkich kobiet nie jest udowodnionem—to jeszcze nie idzie zatem, ażeby ta przewaga była tak zupełną, a działanie władz umysłowych tak słabem, iżby niepodobnym czyniła jasny sąd o rzeczach. Następstwo takie prowadziłoby wprost do zaprzeczenia kobiecie człowieczeństwa i zwolnienia jej z wszelkiej odpowiedzialności, która tylko na zdrowem pojęciu o rzeczach i stosunkach opierać się może.

Obawa pewnych błędów, które zwłaszcza z początku okazać się mogą jako płynące z braku doświadczenia i znajomości życia nie jest groźną, dlatego, że od tych ważnych postanowień nie uchylam bynajmniej mężczyzny. Rzeczy się będą rozstrzygać gremialnie, a sprzeczne żywioły równoważyć. W takiem położeniu owo niby ślepe uczucie, owa niby bezmyślna sympatya nie przeraża mię; uczucie kobiety wykształconej, szczerej i przejętej ważnością obowiązku, nie wywoła zawichrzenia, ale przeciwnie postawione obok chłodnej rozwagi mężczyzny, wprowadzi do działalności więziennej nowe poglądy, może nowe pomysły i nowe pozwoli osiągnąć rezultaty. W zadaniu tak trudnem jak poprawa winowajcy, w zadaniu, które dotychczas tak niewystarczająco jest podejmowanem, nie usuwając mężczyzny wzywam udziału kobiety, bo spodziewam się właśnie w skutek odmiennych duchowych właściwości każdej płci, wzmocnić w ten sposób środki działania nietylko ilościowo ale jakościowo. Nad kobietą wcieloną w ten organizm zbiorowego działania, zawisnie część osobistej odpowiedzialności, a to podobno roztropności mistrz najlepszy; wiedząc jakie

[1]) Miesięczne opłaty od kursu pojedyńczego po 2 talary, od języków po 3, od rysunku i malarstwa po 4. W razie połączenia kilku kursów razem, następuje zniżenie ceny. Tymczasowy adres do 1 kwietnia: Zeughaus-strasse—3, późniejszy: Ferdinand-strasse 19. Oprócz tego utrzymuje p. v. Hake pensyonat dla panienek, w którym opłaca się od osoby po 450 talarów, nie licząc w to, jak zwykle, godzin prywatnych, do których należą: muzyka, śpiew, malarstwo, język włoski, taniec, gimnastyka. Na pensyi przedmioty wykładowe: historya, jeografia, literatura, historya sztuki, historya naturalna, mytologia; języki: francuzki, angielski, niemiecki; wreszcie rysunki.

opłakane skutki jej lekkomyślność wywołaćby mogła, — wiedząc że może narażać społeczeństwo na niebezpieczne zamachy przedwcześnie uwolnionego złoczyńcy—kobieta, ja tak myślę przynajmniej, okaże się raczej zbyt oględną niż zanadto pochopną.

Kobieta wyznaczona z grona właściwego stowarzyszenia do zaopiekowania się wskazanym więźniem, do zajęcia się jego poprawą i ulżenia losu, odda się temu zadaniu z tem większym zapałem, im większą będzie miała pewność, że owoc jej trudów zostanie spożytkowanym w całej rozciągłości. Pracować nad zdemoralizowanym więźniem, aby go z Bogiem i sumieniem pojednać, jest bezwątpienia zadaniem pięknem, zdolnem wywołać szczere poświęcenie. Ale pracować nad umoralnieniem więźnia, wiedząc i czując moc dokonania tego, że ono wyrwie nieszczęsnego z długiej niedoli, powróci go zrozpaczonej, może zgłodniałej rodzinie — to zadanie również szczytne a oprócz tego tak użyteczne i naglące, iż bez przesady twierdzić można, że z większą jeszcze energią i z zupełniejszem poświęceniem byłoby prowadzonem; jedno i drugie cudów dokazać mogą.

Lecz do takiej pracy trzeba czynnego, osobistego udziału kobiety: pieniężna ofiara i okupione nią dogodne wyręczycielstwo, ofiara zwłaszcza czyniona w taki sposób, jakie ma miejsce dziś na cele dobroczynności publicznej — niewiele tu zaważą i celu dopiąć nie pozwolą. Bale i wspaniałe zabawy—nie stosuję tych uwag do koncertów, teatralnych przedstawień i odczytów—urządzane w tych zamiarach grzeszą ze stron wielu. Weselić się w istocie na korzyść cierpiących, szaleć z pustoty na rzecz zrozpaczonych,—co za krwawa ironia! Wywoływać, podsycać i wzniosłym celem niejako rozgrzeszać zbytki i wszystkie niezdrowe objawy próżności, pochłaniające nieprodukcyjnie miliony, z których zaledwie maleńka cząstka do skarbony biednych się dostaje—co za dziwna rachuba! Oswajać młodzież męzką i żeńską klas możnych, z tą myślą błędną, że tańcząc i weseląc się, próżnując i dogadzając wszelkim słabościom, można wypełnić i wyczerpać obowiązek miłosierdzia—co za nieroztropność! Wiązać dziewicze serce tak skłonne do litości i ofiary z nędzą ludzką tak rozległą i głęboką, jedynym łącznikiem jaki się daje wytworzyć w gruncie, wypieszczonego obyczaju i złudnych uciech salonu—jestże to wystarczającem!

Nie pokazać kobiecie w zaraniu życia, w chwili najpiękniejszego przyswajania pojęć i wyrabiania uczuć, tych łez, które ma w życiu innym ocierać, które ją może samą czekają — nie wtajemniczać jej w rozliczne przyczyny, błędy i występki, które łzy z ludzkich powiek wyciskają—nie pozwalać jej przypatrywać się zblizka działaniu i próbować go samej, rozumu, pracy i cnoty, tych jedynych czynników, które mogą jeszcze w pewnej mierze łagodzić bóle ludzkości—czyż może się nazwać umiejętnym trybem wychowania!

Nie chciałbym, ażeby ze słów moich mylne wyciągano wnioski. Szczerość w takiem zwłaszcza żywotnym przedmiocie, jest obowiązkiem koniecznym i ona to nie pozwoli mi pokrywać dla jakichkolwiek względów tego, co mi się prawdą wydaje. Muszę jednak dodać, że potrzeby biednych są wielkie i ciągłe, co stawia nas w konieczności używania dla przychodzenia im z pomocą dotychczasowych środków, jakkolwiek wadliwych, dopóki ich lepsze nie zastąpią. Gorliwym pracownikom i pracowniczkom na tem polu należy się uznanie i podzięka. Celem moich uwag było wykazanie, że w zakresie miłosierdzia publicznego, potrzebną jest radykalna reforma, któraby odsuwając na drugi plan część finansową, postawiła na pierwszym czynny a szeroko rozwinięty udział kobiety, który zwłaszcza jest niezbędnym w zadaniu, jakie jej do spełnienia przekazuje karzące ramię sprawiedliwości społecznej.

Drugim koniecznym warunkiem, mogącym ułatwić pracę około poprawy winowajcy, jest przyjęcie zasady stopniowego łagodzenia kary w miarę pozyskiwanego stopnia umoralnienia, z możnością dojścia do całkowitego umorzenia w razie zupełnej poprawy.

Pracować nad umoralnieniem przestępcy, który nieodwołalnie musi przebyć w więzieniu czas oznaczony, a zatem który ma jeszcze przed sobą długą niewolę lub ukazujące się niedalekie uwolnienie — jest rzeczą, nie powiem niepodobną, ale niewątpliwie bardzo trudną; bo pierwszy wpada łatwo w stan moralnego odrętwienia, drugi w stan lekceważącej pewności; a względem obydwóch karność więzienna z przymusowym porządkiem i przymusową pracą, z przymusową wstrzemięźliwością i przymusową trzeźwością—karność która tylko ujemnie wpływać może przez zobostrzenia, a nic zupełnie nic nawet sposobem zachęty i przypomnienia lepszej przeszłości, nie jest w stanie dać z owych pociech, które osobistą swobodę i węzły rodzinne tak drogiemi czynią— karność taka, a inną być nie może w dotychczasowym systemacie, dzieło poprawy niezmiernie utrudnia.

Dyrektorowie więzień nie mają do przestępcy tej nieufności i nie czują tego wstrętu, jaki im pospolicie okazuje ogół. Widocznie postawieni w konieczności ciągłego z nim obcowania, musieli dopatrzyć się nawet w największym zbrodniarzu pewnych stron dobrych, jeszcze nie zwichniętych, które uzasadniają poprawę. Kryminaliści i moraliści najzupełniej to zdanie praktyki potwierdzają.

Szanowny dyrektor Domu głównego kary w Warszawie, p. Maternicki, nader czynny członek Zarządu Towarzystwa Osad Rolnych, utrzymując więzienie w wzorowym porządku, umie obchodzić się z więźniami prawdziwie po ojcowsku. Widziałem z jakiem zadowoleniem i widocznem rozpromienieniem więźnie przyjmują jego wizyty, i z jaką ufną śmiałością a poszanowania pełną odzywają się do niego ze swojemi prośbami; słyszałem dziękczynienia szczere, wzywania na niego wszystkich błogosławieństw przez uwięzione kobiety, za dobroć, względność i ludzkość; byłem świadkiem jak powtórnie uwięziona przestępczyni wysłuchała z dziwnem wzruszeniem i łzą w oku uwag przez niego czynionych. Nie każde więzienie może się poszczycić takim umiejętnie działającym i serdecznie opiekującym się zwierzchnikiem. Otóż pomimo to wszystko, szanowny dyrektor czując że jeden wszystkiemu podołać nie może, przyznaje potrzebę bliższego zaopiekowania się stroną moralną i umysłową winowajcy w więzieniu, a głównie materyalną po jego uwolnieniu; przyznaje on, że brak takiej opieki jest głównym powodem recydywy czyli powtarzania się przestępstw, zwłaszcza pomiędzy przestępczyniami.

A któż jest od kobiety sposobniejszym do tej pracy cichej a wielkiej? kto potrafi lepiej zniżyć się do poziomu winowajcy, aby jego zaufanie sobie zaskarbić? kto lepiej zdoła wejść w jego drobiazgowe potrzeby, wkraść się w tajniki jego myśli, podchwycić tłumione westchnienia, odgadnąć tęsknotę?..... kto w toni wzburzonych namiętności silniej poruszy wspomnienia rzewne i pamięć związków serdecznych, ażeby w zgliszczach moralnej ruiny największego zbrodniarza odszukać jeszcze szczątki człowieczeństwa, i za ich pomocą dźwignąć go z upadku?.... A dalej—uwolnionego więźnia powracającego na łono społeczeństwa z hańbiącem piętnem na pochylonem czole, kto powita przyjaznem wejrzeniem—kto mu ułatwi nieśmiałe kroki—kto go zasłoni przed niechęcią ogółu—kto poda rękę, doda otuchy, wskaże zarobek, a tem samem uchroni od ponownego upadku?—kto? jeżeli nie ten sam opiekuńczy anioł miłosierdzia, który go wyrwał z otchłani zepsucia?

Nie wiem czy mnie nie uwodzi jakiś błąd dyalektyczny, ale mi się wydaje rzeczą jasną jak słońce, że do tej więziennej i pozawięziennej opieki najwłaściwszą jest kobieta, ta właśnie której z naturalnego porządku rzeczy wychowawcze w ludzkości przypada powołanie. Kobieta, powiadacie wszyscy, stworzoną została, ażeby stać się żoną i matką, ażeby wychowywać pokolenie młode, wpajać w serca miłość Boga, ludzi i cnoty;—ażeby rozświetlać pierwsze błyski myśli ludzkiej, prostować pierwsze błędy ludzkie, podnosić z pierwszych upadków ludzkich.... A więc jeżeli tak jest, jeżeli z jednej strony takie są właściwości niewieściego ducha — z drugiej, jeżeli tych właściwości wszystkie kobiety w rodzinnych stosunkach nie wyczerpują— otwórzcie, panowie, co prędzej podwoje więzień przed naturalną posłanniczką niebiańskich nakazów! wprowadźcie ją tam, gdzie tak niezbędnie jest potrzebną, zetknijcie ją z winowajcą i moralnem niemowlęctwem jej duszy! dajcie jej odpowiednie środki, rozwiążcie krępujące więzy niemocy zwyczaju, wzmóżcie wiedzą, nastrojem powszechnego głosu i poczuciem obywatelstwa, bo tego nagląco domaga się sprawiedliwość, ludzkość i interes powszechny! [1])

A chwila do takiego aktu moralnego wyzwolenia nader odpowiednia. Lepiej ujawnione ekonomiczne i moralne potrzeby, lepiej rozświetlone poczucie powszechnej równości, ogólny postęp cywilizacyi—wywołały na pole teoretycznych rozpraw i doświadczalnych prób zadanie równouprawnienia kobiety. Zsolidaryzowane zachowawcze żywioły oporną temu dążeniu stawiają tamę. I słyszałem pośród nich, z ust bardzo poważnych myślicieli, wygłaszane przekonanie szczere, że równouprawnienie jest błędem dlatego, że cały duchowy ustrój niewieści czyni ją na zawsze niezdolną do tego wysiłku, który stawia człowieka po nad ściśle podmiotowe pojęcia. Kobieta, powiadają, może być dobrą córką, przywiązaną siostrą, kochającą żoną, poświęconą matką i w tym zakresie stosunków czysto osobistych przewyższy mężczyzna—ale go nigdy nie dosięgnie w rzeczach wszech ludzkich i w rzeczach wszech stworzenia, gdzie nie ma do ukochania ani *swoich* rodziców, ani *swojego* brata, ani *swojego* męża, ani *swoich* dzieci.

Zarzut poważny na dojrzałą zasługuje rozwagę. Otóż badając przeszłość, szukając w życiu wyjaśniających wskazówek, znalazłem w historyi wojującego chrześciańskiego kościoła kobietę męczenniczkę—znalazłem pośród nas żywą postać siostry miłosierdzia. Więc zbrojny w te wymowniejsze od wszelkich argumentów objawy dotykalnej rzeczywistości, twierdzę, że mylą się ci, którzy chcą zacieśnić niewieściego ducha w granicach rodzinnych stosunków, bo kobieta stwierdziła czynem wielkiej doniosłości, że umie ukochać ideę i ludzkość. Lecz to co dotychczas wystąpiło tak świetnie z całej masy płci niewieściej jako wyjątek—to dziś uogólnić się musi, bo potrzeby się wzmogły, wymagania podniosły.

Do was się więc zwracam, szanowne panie, do was szczególniej, które los uwolnił od troski o chleb powszedni, a którym nie dał jeszcze obowiązków rodzinnych, lub którym je odjął! Jeżeli słaby mój głos trafia do serc i umysłów waszych, pomyślcie o niepodjętem zadaniu, jakie na was nakłada dzisiejszy stan pojęć karnych, a w szczególności szczęśliwie rozwijające się Towarzystwo Osad Rolnych i przytułków Rzemieślniczych dla małoletnich przestępców,—pomyślcie, że od waszego czynnego udziału zawisła umoralniająca działalność więzienia i urzeczywistnienie tego wzniosłego pragnienia filozofii: *ażeby poprawa winowajcy sama przez się znosiła karę społeczną.*

Chciejcie więc przyłożyć się do tego wspaniałego dzieła, którego pierwszą i ostatnią kartę Bóg wypisał w waszem sercu. Uczyńcie, ażeby historya mogła kiedyś powiedzieć, że kobiecie ludzkość zawdzięcza jedno z największych ulepszeń prawodawczych XIX wieku i że po tych stopniach stwierdzonej obywatelskiej dojrzałości i spełnionej wielkiej powinności, umiała ona zdobyć i uświęcić prawami to wyższe, wszechstronne stanowisko, do którego ją duch czasu powołał.

Edward Prądzyński.

ZARYSY AZYI ŚRODKOWEJ.

(Przez N. Karazina).

(Dalszy ciąg).

Przed dziesięcioma laty, kiedy kraj ten pozostawał jeszcze w stanie dzikości, gdy nie znano wielu skarbów w nim się znajdujących, nowi przybysze osiedlający się w tych stronach, korzystali z bogactw leśnych bez wszelkiej kontroli, a najlichsze budowle wznoszonemi bywały z najlepszego materyału. Sam widziałem w mieście Wiernem i Liubownie (Keskelene) proste zagrody wzniesione z grubych na arszyn desek. Teraz zajęto się zmianą takiego wcale

---

[1]) Powołanie opiekuńcze kobiety nad więźniami znajdujemy urzeczywistnione w zakładzie więziennym Maryi Magdaleny we Lwowie. Siostry miłosierdzia kierują tam poprawą kobiet przestępnych; szczegóły podane w Bluszczu z r. 1873; w numerach 19, 20 i 21.

nie ekonomicznego gospodarstwa, i ograniczono wielce wyniszczanie tej cudownej górskiej roślinności. Między innemi surowo jest zakazanem opalanie pieców budulcem, co poprzednio zwyczajnie się praktykowało, gdyż łatwiej przewozić było drzewo tego rodzaju, aniżeli grube gałęzie. Każdego lata setki silnych, o rozłożystych rogach, wołów ciągną po drodze do miasta Wiernego wiodącej i do drugich stanic semineczeńskiego wojska kozackiego, mocno zbudowane kary, naładowane budulcem przygotowanym do spławu. Ogromnemi bywają żądania tego materyału budowlanego codziennie w te strony nadchodzące; ale też i olbrzymiemi są zapasy wyrosłe w ciągu dziesięciu z górą wieków w niedostępnych górskich miejscowościach.

Gdyśmy zsiedli z koni przed opisaną już poprzednio chatą, nie wszyscy jej mieszkańcy byli w domu u siebie. Zastaliśmy tylko dwóch ludzi; jeden znich Kozak kręcił się około ognia, na którym w płaskim kotle gotowało się w tłuszczu pokrajane w kawałki mięso (powonienie Kirgiza, mojego służącego, niezawiodło go widocznie), drugi zaś mały Kałmyk-Chińczyk siedział nieopodal w kucki, tak że jego czarna czupryna dotykała ziemi. Ten ostatni smutno spoglądał w około głupowatemi zezowatemi oczkami i chciwie wciągał w siebie zapas smażącego się tłuszczu. Około niego leżały związane skórki prześlicznych kun, które przyniósł do Kozaków w celu wymienienia ich na mąkę, proch i ołów. Potem nabyłem te skórki od Kozaków, płacąc po dwa ruble za sztukę. Niewątpliwie tanio bardzo muszą je nabywać Kozacy, kiedy mogłem je nabyć już z drugiej ręki za $1/4$ część ich rzeczywistej wartości.

Jednym z cennych przymiotów mojego służącego Kirgiza była umiejętność szybkiego i wygodnego urządzania noclegu w miejscach spoczynku. Prędzej niż w kwadrans konie nasze już były rozsiodłane i przywiązane do kołków wbitych w ziemię. W blizkości ognia rozłożone były nasze kołdry i rzucone poduszki. Miedziany czajnik umocowany na trójnożnej podstawie zagotował się, a Bajtak podszedł do ognia, i z uczuciem zadowolenia z siebie samego, spoglądał to na mnie, to na Kozaka, to w kocioł, w którym się gotowało mięso, lecz nie raczył zwrócić nawet najmniejszej uwagi na biednego Kałmyka, siedzącego ze smutną, błagającą litości twarzą na ziemi.

— Pan jedziesz z Wiernego?—zapytał mnie Kozak. Odpowiedziałem twierdząco.

— A czy daleko? — ciągnął dalej badanie. — Powiedziałem mu dokąd udać się zamierzam.

— Do aułu Dżirgałły, wiem. Czy z Kozaków nikt nie był w pańskich stronach? Jedziesz pan za interesem, czy dla przyjemności?

— Mam interesa—odpowiedziałem.

— Musi to być kupiec! pomyślał sobie Kozak, patrząc na mnie.

— A gdzież są twoi towarzysze?—zacząłem z kolei go wypytywać.

— Włóczą się — odpowiedział, niedźwiedzi chcą wygnać z ich legowisk i polować na nie. Spodziewam się, że wkrótce przybędą z powrotem.

— Czy dawno mieszkasz tutaj?—spytałem Kozaka.

— Ja niedawno, zaledwie sześć miesięcy, lecz nasz uriadnik Gołowin, ten już piąty rok w tych stronach przebywa.

Wkrótce zawiązaliśmy żywą rozmowę z chętnym do gawędy Sybirakiem. Chętnie rozpowiadał różne szczegóły dotyczące jego przemysłu, życia w obcym kraju, poprzednich tutejszych urządzeń, jednem słowem, mówił o tem wszystkiem, co było nader zajmującem dla mnie— i nie upłynęła jeszcze godzina, jak był wielkim moim przyjacielem, szczególniej po potraktowaniu go kilkoma filiżankami gorącej herbaty z arakiem, które bardzo przyjemnemi być musiały na świeżem nocnem powietrzu.

Wkrótce powróciła i reszta towarzyszów kozackich. Byli to ludzie młodzi, rumiani i zdrowi; jeden tylko pomiędzy nimi był o wiele starszym od towarzyszów z ciemną brodą, przypruszoną siwizną i z huderlawem nie zupełnie ruskiem obliczem. Był to właśnie uriadnik Gołowin, wielki amator leśnego, na pół-dzikiego, myśliwskiego życia. Z przybyłymi Kozakami przybiegło kilku różnej maści psów sybirskich, które pochmurnie jakoś na nas spojrzały, zaszczekały, potem niedowierzająco obwąchały nasze tłomoki i położyły się wreszcie niedaleko od nas, grzejąc zziębłe członki i wymachując białemi, bogato siercią pokrytemi ogonami.

Kozacy zasiedli do wieczerzy, rzuciwszy wielką, z dosyć znaczną ilością mięsa, kość biednemu Kałmykowi, który chciwie ogryzać zaczął podane mu jedzenie. Widocznem było że nieszczęśliwy Kałmyk strasznie był wygłodzonym.

Po upływie pół godziny wszyscy udali się na spoczynek. Ze służącym moim Bajtakiem wolałem przenocować na świeżem powietrzu, aniżeli pójść do dusznej i w dodatku nie bardzo czystej chaty. Kirgiz urządził się w następujący sposób: Zebrał wielką ilość drobnych świerkowych gałęzi, ułożył z nich podścielisko i pokrył je naszemi grubemi kołdrami. Mieliśmy więc posłanie ciepłe i spokojne. Uczyniwszy to Bajtak rozkiełznał konie, opatrzył kołki do których były przywiązane, pogłaskał mimochodem psy i zwinąwszy się w kłębek, legł około ognia nakrywszy się aż do głów półkożuszkiem. Wkrótce wszystko już spało i w chacie i na zewnątrz niej.

Cudna, majestatyczna cisza panowała w okolicy; czasami tylko jakieś nieokreślone dźwięki rozlegały się w powietrzu, zbudziwszy echa górskie— i znowu milczenie, znowu surowa ogólna cisza zalegała ziemię. Znakomicie śpi się podczas takich uroczych nocy.

Kiedym się obudził, wszystko na około mnie było już na nogach, chociaż zaledwie świtać zaczynało. Bajtak już zdążył ugotować herbatę i osiodłać konie. Ze wschodem słońca trzeba było jechać w dalszą drogę. Pożegnałem się z Kozakami, którzy życzyli nam szczęśliwej drogi, i dwóch z nich ofiarowało się nawet przeprowadzić nas na odległość pięciu wiorst, w celu ukazania najbliższej, wedle ich zdania drogi, w dolinę Czylikską.

Słońce jeszcze nie weszło, lecz z poza rannego niebieskawego tumanu wysuwały się już oddalone wierzchołki oświecone pierwszemi promieniami rozpoczynającego się dnia.

Wsiedliśmy na konie i wyruszyli w drogę. Teraz było daleko wygodniej jechać lasem aniżeli podczas nocy, przynajmniej nie trzeba się było obawiać nieprzyjemnych i niespodziewanych wypadków. Konie szły pewnym krokiem, nie zbliżając się i nie utykając pomimo zaledwie dostrzegalnych ścieżek usianych dołami. Prócz tego, po największej części, należało wspinać się na górę; wkrótce wydostawszy się z leśnej gęstwiny, weszliśmy w wąwozy otwarte, kamieniste i pozbawione wszelkiej roślinności. Tutaj rozstali się z nami towarzyszący w drodze Kozacy, pozostawiając mnie z Bajtakiem samych tylko w dalszej czekającej nas podróży.

Droga była coraz szersza; mogliśmy jechać obok siebie, a miejscami przyśpieszać bieg naszych koni. Po prawej i lewej stronie rozciągały się nagie, pokryte śniegiem tylko spadzistości; ślady stóp wilczych często przerzynały drogę; widać było, że dosyć tych żarłocznych i niebezpiecznych stworzeń przebywa w tej głuchej i pustej miejscowości. Dosyć chłodny wiatr zmusił nas do ściągnięcia lepiej odzieży, z pomocą pasów skórzanych, jakie mieliśmy na sobie. Wkrótce spuściliśmy się zupełnie z gór Ałmatyńskich, a przed nami roztoczyła się dolina Czylikska, za nią zaś widniał sinawy górski łańcuch wraz z ciężkiemi i różnokształtnemi drożynami.

Około południa podjechaliśmy do samych brzegów Czyliku. Tę niewielką rzeczkę zastaliśmy zupełnie zamarzniętą. Nędzne żółte sitowie tu i owdzie dostrzegać się dawało na jej pustych brzegach, a z drugiej strony kręto wznosiły się w górę nagie spadzistości łańcucha Mergen-Szera.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch** oraz **Kamiennej Woli**.

Wyszły z druku

Zeszyty 25 i 26-ty

dzieła pod tytułem:

PISMO ŚWIĘTE

Starego i Nowego Testamentu

z 230 illustracyami

GUSTAWA DORÉ

jedyna w swoim rodzaju pod względem przepychu edycya, zawierająca przekład

Ks. JAKÓBA WUJKA

z objaśnieniami podług Fr. Allioli,

zaaprobowana przez Konsystorz Archidyecezyi Warszawskiej

Cena zeszytu kop. 50 z przesyłką kop. 60.

Przystępujący do prenumeraty płaci tylko za zeszyty które otrzymuje i za ostatni całego dzieła. Następnie w Warszawie płaci się po kop. 50 przy odbieraniu każdego zeszytu; z prowincyi zaś nadsyłać można na dalsze zeszyty po Rs. 2, 3, 5 lub więcej. Zeszytów będzie 62.

Michał Glücksberg, Wydawca.

TREŚĆ: Antygona Sofoklesa, (studium), (dokończenie), przez El-y. — **Pogawędka.** — **Zarnica**, (dalszy ciąg), powieść bulgarska spółczesna, przez Teod. Tom. Jeża. — **Listy z zagranicy**, przez J. I. Kraszewskiego.—**Kobieta i wymiar kary w społeczeństwie**, Prelekcya, (dokończenie), przez Edwarda Prądzyńskiego. — **Zarysy Azyi środkowej**, (dalszy ciąg), przez N. Karazina.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20. **Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg**

Дозволено Цензурою 9 (21) Апрѣля 1874 г.